



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Czesław Łukasik

## Wspomnienia z lat 1944-1945

W dniu 1 sierpnia 1944 roku byłem z wizytą u krewnych na Woli, gdzie około godziny 16.00 rozpoczęły się walki (róg ul. Wolskiej i Redutowej). W tej sytuacji postanowiłem wrócić do domu na Ochotę (mieszkałem przy ul. Grójeckiej 5), ale nie było to wcale łatwe. Usiłowałem przedostać się przez Dworzec Zachodni. Tam jednak ustawione były niemieckie działka i karabiny maszynowe. Mimo to dotarłem jakoś do ul. Szczęśliwickiej róg Barskiej, gdzie znajdowała się placówka AK. Tutaj dowiedziałem się, że w Warszawie wybuchło powstanie. Postanowiłem włączyć się do walki. W placówce spotkałem kolegę z sąsiedniej ulicy, który potwierdził moją tożsamość i dzięki temu zostałem przyjęty do plutonu 406. Przysięgę przyjął ode mnie kapral, który powiedział mi, że broń niestety muszę zdobyć sobie sam. Po jakimś czasie wycofaliśmy się na ul. Joteyki, a następnie na ul. Sękocińską 5, gdzie otrzymaliśmy jedzenie i picie. Tutaj też dostarczono 2 pudła granatów domowej roboty (tzw. sidolówki). Otrzymałem dwa takie granaty. Jednocześnie pouczono mnie, jak się nimi posługiwać. Mniej więcej po godzinie pluton w sile kilkunastu chłopców i kilku dziewcząt wyruszył poprzez ul. Słupecką, Asnyka, Akademicką do bloku ZUS przy ul. Niemcewicza 7/9. Trwała tam nerwowa szarpanina i chaos. Atak na Dom Akademicki zupełnie się załamał. Zginęło wielu powstańców.

Około północy otrzymałem karabin i poszedłem na wartę. Miałem rozkaz zabezpieczenia parkanu obok bloku ZUS od strony ulicy Filtrowej. Po zakończeniu warty musiałem oddać broń i znowu zostałem tylko z dwoma granatami. Po krótkim odpoczynku zostaliśmy poderwani i zgrupowani na podwórku ZUS. Nie wiedzieliśmy co się dzieje. Zewsząd słychać było strzały i widać było łuny pożarów. Pod presją lokatorów musieliśmy opuścić zajmowany budynek. Padło hasło wymarszu z Ochoty. Nasz oddział posuwał się ulicami Niemcewicza i Szczęśliwicką. W pewnym momencie usłyszałem strzał i dopiero wtedy rozejrzałem się dokładnie. Zobaczyłem jak wielu nas było – przeważnie młodzieży w moim wieku. Poszliśmy do torów kolejki EKD. Nie bardzo było wiadomo dokąd mamy się udać. Mówiono, że mamy dobroić się w lasach sękocińskich i powrócić do Warszawy.

Po dwóch godzinach marszu nad ranem nadjechała kolejka EKD, do której wsiedliśmy. Na przedzie wagonu motorowego ustawiony był karabin maszynowy, po bokach również były karabiny. Byliśmy pełni zapału i nadziei. Kolejka dowiozła nas do Reguł, skąd piaszczystą drogą ruszyliśmy w kierunku dużej kępy drzew. Nagle nadjechały dwa samochody z niemieckimi żołnierzami. Rozpoczęła się walka. Samochody zostały zniszczone, a Niemcy zabici. Uszliśmy dalszych 200 metrów, gdy hitlerowcy ponownie nas zaatakowali. Padł rozkaz: „Plutony 403, 406, 438 naprzód!” Poprzez ściernisko z ustawionymi kopcami zboża dotarłem do plantacji słonecznika. Po drodze widziałem wielu zabitych i rannych. W pewnym momencie poczułem uderzenie w nogę, jednak czołgałem się dalej. Po godzinie lub dwóch

zobaczyłem nad sobą dwóch Niemców z karabinami wymierzonymi we mnie. Jeden z nich poderwał mnie na nogi i zmusił, abym szedł. Zaprowadzili mnie do parku, gdzie stało już około 40 osób wziętych do niewoli, w tym cztery ciężko ranne. Ranne były również cztery sanitariuszki. Naprzeciwko nas leżeli hitlerowcy z bronią gotową do strzału.

Po jakimś czasie niemiecki oficer kazał zwolnić sanitariuszki. My staliśmy pod murem, a Niemcy w tym czasie spędzili okoliczną ludność do obór i stodół wokół dworu z nakazem oglądania egzekucji. Wcześniej, gdy ludzie ci stali obok nas, podałem komuś adres mojej rodziny i poprosiłem o powiadomienie. Tak staliśmy do południa. Wtedy dokonano rewizji i zabrano kenkarty. Następnie wpędzono nas do piwnicy, skąd po dziesięciu brali nas do kopania dołu. Ja byłem w ostatniej dziesiątce, która kopała dół wielkości 3 na 4 metry o głębokości około 2 m. Około godziny 20.00 poprowadzono nas na pole walki. Był to bardzo wstrząsający widok: goła łąka, która nie dawała nam żadnych szans w walce. Na ziemi leżało wielu zabitych żołnierzy. Kazano nam pozbierać trupy i wrzucić do wykopanego dołu. Dla mnie – 18-letniego wtedy chłopca – szczególne przerażająca była śmierć młodej dziewczyny, która ciężko ranna w kroczce zmarła z kwiatkiem przy ustach. Ten widok pozostał na zawsze w mojej pamięci.

Po złożeniu trupów do grobu ponownie zapędzono nas do piwnicy. Wkrótce przyszli SS-mani i po 10 wyprowadzali na zewnątrz. Słychać było strzały i krzyki. Ludzie zaczęli się modlić i płakać. Ja cofając się i zobaczyłem piec do pieczenia chleba. Spytałem czy ktoś się tam schował. W odpowiedzi usłyszałem, że nie opłaci się. Ja jednak zaryzykowałem. Wszedłem do pieca, a koledzy przykryli mnie drewnem, dali latarkę i 20 dolarów oraz płaszcz i zamknęli drzwi. Słyszałem jak Niemcy mówili, że to już wszyscy, ale do pieca nie zajrzeli. Na szczęście nie był on zamknięty od zewnątrz.

Zasnąłem, ale po 3 godzinach obudziłem się i wydostałem się z pieca. Wziąłem latarkę, zdjąłem buty i zacząłem iść korytarzem. Chciałem wyjść okienkiem od piwnicy, ale było zakratowane. Niemcy spali mocno i udało mi się przejść niepostrzeżenie także koło radiostacji. Przy wejściu do palacu stał na warcie niemiecki żołnierz i musiałem czekać na okazję. Po zmianie warty inny żołnierz nie wytrzymał na deszczu i schował się do środka. Wykorzystałem ten moment, aby wydostać się na zewnątrz. Wyszedłem cicho do parku i pomiędzy niemieckimi czołgami przedostałem się nad staw. Drogą obok stawu doszedłem do wioski. Wszystko było pozamykane. Nie było żadnych oznak życia. Ludzie albo nadal byli uwięzieni albo nie żyli. W końcu wioski udało mi się obudzić chłopca, który bał się panicznie, ale dał mi gotowanego bobu, abym jak najszybciej sobie poszedł. Nie uszedłem daleko, gdy usłyszałem „halt!” i znów Niemcy byli przy mnie. Zaprowadzili mnie znowu do tego samego dworku. Na pytanie czy jestem polskim bandytą odpowiedziałem, że handluję (miałem przy sobie worek z ziemniakami, który znalazłem po drodze) i przyjechałem po żywność z Warszawy. O ironio – wsadzono mnie ponownie do tej samej piwnicy. Niemcy zaczęli ładować akumulatory i potrzebny im byłem do pomocy. Cały czas myślałem o tym czy dadzą jeść. Jeżeli dadzą, to istnieje szansa przeżycia. W tym czasie sprowadzili 3 mężczyzn, których następnie rozstrzelali na starym cmentarzu ofiar z I wojny światowej.

Pracowałem dwa dni i nagle zrobił się popłoch. Niemcy zaczęli ładować wszystko na samochody. Mnie także zapakowano do auta. Dojechaliśmy do Brwinowa, gdzie hitlerowcy zajęli na kwatery jakiś dom. Mnie nadal pilnowało czterech żołnierzy. Przespałem się na schodach. Rano dostałem pół konserwy i kawałek chleba. Nikt mnie nie zatrzymywał. Jeden z moich „opiekunów” zajęty był grabieniem domu, drugi radiostacją, a dwaj pozostali gdzieś poszli. Wziąłem płaszcz i w nogi. Doszedłem do dworca EKD. Spytałem kolejarza, kiedy będzie kolejka do Warszawy. Ten puknął się w głowę. Pokazał w kierunku stolicy, gdzie widać było jedno wielkie kłębowisko dymu i powiedział: „Czy nie widzisz, że Warszawa walczy i nie ma żadnej komunikacji?!” Ja jednak zdecydowałem się iść pieszo.

I znowu daleko nie uszedłem, gdy usłyszałem „halt!” i obok mnie pojawili się Niemcy. Powiedziałem, że idę do pracy do Pruszkowa. Puścili mnie. Doszedłem do końca Pruszkowa i zobaczyłem chłopca kopiącego kartofle. Zapytałem czy nie potrzebuje pomocy. Odpowiedział, że tak. Wykopaliśmy cały wóz cudzych kartofli (były to pola niemieckich kolonistów). Po przyjeździe do domu chłopca ukryłem się w słomie w stodole, gdzie przespałem cały dzień i noc. Ponieważ nie miałem żadnych dokumentów, uprosiłem gospodarza, aby pozwolił mi trochę pozostać i aby wyrobił mi jakieś dokumenty. Niestety, po tygodniu dowiedziałem się, że nie będzie żadnych papierów i mam się natychmiast wynosić.

Wyszedłem z Pruszkowa kierując się na zachód, ponieważ miałem rodzinę za Sochaczewem. Po drodze wszedłem do kościoła (chyba w Żbikowie) i pomodliłem się do Matki Boskiej prosząc o opiekę. Następnie udałem się w kierunku Błonia. Dotarłem do Płochocina, gdzie mieszkała moja dalsza rodzina. Moi kuzyni bardzo się przelękli i wypędzili mnie. Wskazali mi za to dwór Łuszczewek, oddalony o około 3 kilometry, gdzie mogłem się schronić.

We dworze przyjęto mnie do pracy, ale nie pozwolono mówić, że jestem z Warszawy, tylko z Błonia. Pracowałem tam przy żniwach przez dwa tygodnie. Właścicielem dworku była bardzo dzielna kobieta, która wypiekała chleb i karmiła nim całą gromadę uchodźców, jak również woziła go do obozu w Pruszkowie. Nigdy nie spałem w pomieszczeniach, tylko w stogu siana. Pewnej nocy przyszli partyzanci z Puszczy Kampinoskiej po żywność. Chciałem, aby wzięli mnie ze sobą, jednak spotkałem się z odmową. Powiedzieli, że jest bardzo ciężko i lepiej będzie, jeśli tutaj poczekam. Wkrótce przyszli

---

żandarmi niemieccy i wyprowadzili wszystkich mężczyzn z pomieszczeń. Wszystkich z Warszawy rozstrzelali w lesie.

I znowu się uratowałem. Postanowiłem udać się do Sochaczewa. Moja noga już się zagoiła. Droga do Sochaczewa nie była jednak łatwa. Wyruszyłem wozem z chłopakami jako zmiennik na okopy za bochenek chleba i butelkę mleka. Po wielu perypetiach dojechaliśmy do Sochaczewa. Na rynku zrobiliśmy krótki postój, a ja w tym czasie wyrobiłem sobie metrykę (urodziłem się pod Sochaczewem). To był już jakiś dokument. Boczną ulicą doszedłem do mostu i następnie dotarłem do rodziny ojca. Przyjęto mnie jak syna. Nie mogłem jednak długo tam zostać. Musiałem uciekać, gdyż stale groziła mi śmierć. Przebywałem w trzech różnych wioskach. Po dwóch miesiącach wróciłem do rodziny. Przez cały ten czas przebywałem za Sochaczewem. Pracowałem na okopach, za co dostawałem 1 kwitek dziennie. Za sześć takich karteczek dostawało się 1 różowy talon, na który można było otrzymać 1 litr spirytusu i paczkę zapalek.

W międzyczasie przyszły listy od ojca i brata z Oranienburga. Sprzedawałem spirytus i za te pieniądze wysyłałem paczki raz do ojca, drugi raz do matki, która przebywała w obozie Hildenschein. Po wyzwoleniu Sochaczewa, 19 stycznia 1945 roku postanowiłem, że zbuduję namiot na gruzach, ale będę mieszkał w Warszawie...